

TANJA STEINLECHNER
TANCERKA
Z MOULIN
ROUGE

PRZEŁOŻYŁA AGATA CHMIELECKA

MARGINESY

Die Tänzerin vom Moulin Rouge

COPYRIGHT © 2021, Bastei Lübbe AG, Köln

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agata Chmielecka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2024

Moim dwóm wspaniałym synom,
Merlinowi Leanderowi
i Luciusowi Valerianowi,
z miłością

Żadne życie nie jest z góry przesądzone. Los żadnego człowieka nie zależy wyłącznie od jego pochodzenia, statusu społecznego, miejsca czy roku urodzenia. Upór, talent i przemożne pragnienie zerwania ze starym światem przędą w skrytości nici przeznaczenia.

Prolog

Do namiotu chciała zajrzeć tylko na chwilę, żeby rzucić okiem na cuda wędrownego ludu, o których sobie opowiadano. W cyrku była podobno tresowana małpka, niepostrzeżenie wykradająca damom sole trzeźwiące, a panom tytoń do żucia i brzęczące monety, które ci trzymali w kieszeniach kamizelek. Być może zobaczyłaby również tygrysa albo nawet ludzi gumy, o których mówiły jej kobiety w pralni, a którzy podobno posiadli nadzwyczajną umiejętność rozciągania i wyginania swych ciał. Louise odkryłaby sekret cyrkowców, akrobatów, kuglarzy i klaunów. Gdyby tylko dowiedziała się, jaki eliksir musi wypić albo jaki magiczny olejek w siebie wetrzeć, na pewno by go zdobyła.

Koniecznie chciała zobaczyć te cuda na własne oczy. Cyrk przyjeżdżał do miasta tak rzadko, że kolejna okazja prędko by się nie nadarzyła. W końcu dzisiaj były jej urodziny, a na bilet matka nie mogła sobie pozwolić. Żeby zgromadzić pieniądze na prezent dla córki, tarte au chocolat, miesiącami odejmowała sobie od ust. Louise od razu zauważyła szczelinę w materiale namiotu. Podkraśla się bliżej. Pod osłoną ciemności, z dala od świateł skierowanych na wejście, przykucnęła z mocno bijącym sercem. Przez rozdarcie dostrzegła tancerki w mieniących się kolorami kostiumach. W rytm tanecznej muzyki podnosiły wysoko nogi, potrzęsając przy tym pomponami. Louise wpatrywała się w nie jak zaczarowana. Gdy muzyka ucichła,

na arenie pojawiła się kobieta cała ubrana w złoto. Jej głowę ozdabiały pióra, a brzuch okalały świecące łańcuszki. Ten jeden występ Louise musiała jeszcze zobaczyć! Klęcząc na twardej ziemi, oglądała przedstawienie z szeroko otwartymi oczami. Przeczynała, że najważniejsza atrakcja – czekająca w koszu przyniesionym właśnie do namiotu przez flecistę w pumpach – dopiero nastąpi. Flecista postawił kosz przed kobietą i usiadł na poduszce nieopodal. Potem zaczął grać. Z instrumentu wydobywały się budzące grozę i jednocześnie lekkie tony, które brzmiały, jakby pochodziły z rozstrojonego akordeonu, a nie z dzwięcznego fletu. Kobieta podniosła pokrywę kosza. Wyłoniła się z niego głowa kobry. Musiały obudzić ją urok muzyki i umiejętności zaklinaczki. Ręce kobiety, a w ślad za nimi głowa kobry, poruszały się w rytm melodii.

Nagle Louise zadrżała ze strachu i zerwała się na równe nogi. Ktoś podszedł do niej od tyłu i dotknął jej ramienia. Była tak przejęta spektaklem, że niczego nie usłyszała. Kobieta i mężczyzna w wytwornych kostiumach patrzyli na nią ze zdziwieniem. *Merde!* Będzie niezła awantura. Mężczyzna schylił się do niej i zapytał łagodnym głosem, choć bez uśmiechu:

- Podoba ci się przedstawienie?

Louise przytaknęła.

- Odważna jesteś, mała - stwierdziła kobieta. Miała ognistorude włosy i mnóstwo piegów na nosie.

- Co muszę zrobić, żeby też występować w cyrku? - ośmieliła się zapytać Louise. Serce waliło jej jak szalone, ale podskórnie czuła, że cyrkowcy nie zgłoszą nigdzie jej występu. - Mogłabym nauczyć się tańca na linie albo jazdy na grzbiecie słonia.

Para spojrzała po sobie rozbawionym wzrokiem.

- Chcesz się do nas przyłączyć? - Rudowłosa zaczęła przyglądać się jej badawczo. - To nie taki lekki kawałek chleba. Wszystko trzeba sobie samemu wywalczyć. Ćwiczenia odbywają się dzień w dzień. Wieczorem jesteś cała obolała. - Artystka w zamyśleniu zwróciła

wzrok na korony drzew, które delikatnie szumiały na wietrze. Nuciała przy tym cichą melodię.

Louise czekała, aż znów się odezwie.

- Wiesz - powiedziała kobieta. - My, cyrkowcy, zadajemy sobie cały ten trud nie dla pieniędzy. Tak naprawdę niewiele zarabiamy. Ale spójrz tylko! - Wskazała na szczelinę w namiocie, a Louise zrozumiała, do czego ją zachęca.

Z wnętrza dobiegały końcowe brawa. Znowu przykucnęła i po raz ostatni zerknęła na twarze cyrkowców. Sprawiali wrażenie spokojnych i zarazem szczęśliwych. W ich oczach widać było niezwykle blask, jakby nie z tego świata. Być w centrum zainteresowania, osiągnąć marzeń i na końcu przedstawienia skąpać się w oklaskach - o to w takim razie chodziło. Taką zapłatę otrzymywali.

Gdy Louise się podniosła, pary już nie było. Przeżycia tego wieczoru zostawiły w niej trwałe ślady i obudziły głęboko skrywane pragnienia. Po raz pierwszy poczuła przedsmak nieokiełznanego, wolnego życia.

Część I

Clichy pod Paryżem, 1882

Louise otworzyła drzwi z kutego żelaza i weszła na dziedziniec pralni. W nocy prawie w ogóle się nie ochłodziło, a drżące letnie powietrze miasta mieszało się ze smrodem ptasich odchodów, które praczki wykorzystywały do wybielania tkanin.

Louise pokręciła nosem i schyliła się do Minette, która ocierała się o jej nogi i trącała ją łebkiem. To był ten krótki czas, który należał tylko do niej, czas, kiedy nie musiała pilnować ognia, schylona mieszać gorącej, kipiącej wody w kotle, wyżymać mokrego prania, taszczyć go do suszarni i rozwieszać na lince.

Coraz głośniejsze mruczenie wydobywające się z ciała kota dało jej chwilę wytchnienia. Nagle jednak poczuła ścisk w żołądku. Nic jeszcze dzisiaj nie jadła. Rano i tak zazwyczaj posilały się z matką jedynie chlebem i rozrzedzonym mlekiem. Przy tak skromnej pensji nie mogły sobie pozwolić na nic innego. A zaraz znowu miała się zacząć seria powolnie ciągnących się godzin, które Louise spędzi w półmroku szarej hali. Zignorowała rwanie w brzuchu, podpowiadające jej, by się odwróciła i jak najszybciej opuściła to miejsce. Matka na nią liczyła, więc Louise nie miała wyboru.

Jeszcze raz pogłaskała delikatnie główkę Minette, a potem przemierzyła dziedziniec i wślizgnęła się do pralni przez uchylone ciężkie drzwi. Z wieszaka, na którym - równo w szeregu - wisiały fartuchy pracownic, zdjęła swój i przewiązała go sobie w pasie. Uklękła przy metalowej wannie, w której składowano drewno, i wzięła tyle polan,

ile zdołała. Wstając, straciła równowagę, a cały stos drewna spadł z hukiem na ziemię.

Westchnęła i znowu kucnęła, aby zebrać szczapy i włożyć je do fartucha. Ponownie wstała, tym razem bardzo ostrożnie, i zanosła drewno do ostatniego rzędu kotłów, po czym wyjęła je i ułożyła na zimnych już paleniskach.

Znienacka poczuła czyjeś ręce na ramionach. Zadrżała. Nie usłyszała zbliżającej się Betty, przełożonej, którą jednak od razu poznała po zimnych palcach i silnym uścisku. Zdała sobie sprawę, że była obserwowana. Przełożona zawsze pojawiała się znikąd i za każdym razem wylewała się z niej lawina oskarżeń i pretensji. Betty obróciła Louise w swoją stronę i chwyciła jej palce, zanim ta zdążyła schować je za plecami.

- Znowu masz czarne paznokcie! - Betty pokręciła głową z niezadowoleniem. - Gwarantujemy czystość najwyższej klasy. Wbij to sobie do głowy! I ten brudny fartuch! Albo go dziś wypierzesz, albo więcej tu nie przychodź! Żal mi tego, który weźmie cię za żonę.

Policzki Louise płonęły bardziej ze złości niż ze wstydu. Niewątpliwie Betty czerpała przyjemność z poniżania dziewczyny.

- Nie stójże tak, Louise, tylko rozpal w końcu ogień pod kotłami! Trzeba poskładać pranie madame Dupont, bo już o nie pytała. I uważaj na obszywki i koronki. *Vite, vite!* - Po tych słowach przełożona usiadła na zielonym tapicerowanym krześle przy kasie. To właśnie tam spędzała większość czasu i przyjmowała klientki.

Stałe miejsce Louise w ostatnim rzędzie pozwalało jej obserwować, co dzieje się w hali, a przede wszystkim unikać Betty i jej wrzasków. Louise zawsze się spieszyła, wychodząc rano z domu, i prawie zawsze była w pralni pierwsza, bo nie chciała, by któraś z kobiet podkraśla jej ulubione miejsce. Za pomocą zapalek, które przechowywała obok paleniska przy ostatnim kotle, rozpalila ogień. Jak cudownie wiły się płomienie nad rozpalonym drewnem i jak magicznie splotły się we wspólnym tańcu. Ogień płonął, nie pytając,

po co istnieje. Zamknęła oczy i przysłuchiwała się trzaskom i sykom. Była to kolejna skradziona chwila, należąca tylko do niej.

Zegar kościelny wybił pełną godzinę, więc praczki przekroczyły hałaśliwie próg hali, aby zająć miejsca. Wymieniano się powitalnymi formułkami i plotkami. Louise niechętnie oderwała wzrok od ognia i zwróciła się w stronę kosza z praniem, który stał za nią na półce. Nie zdążyła wczoraj posortować jego zawartości. Pantalony i pończochy trzeba było odkładać osobno. Louise, naciągając je sobie na dłoni, aby przewrócić je na drugą stronę, czuła ich jedwabną fakturę - delikatną i śliską niemal jak woda. Zauważyła, że ostatnio pojawiły się nowe wzory i kolory. W garderobach światowych kobiet obok białych zagościły zielone pończochy z czerwonymi akcentami. Poza tym spotykało się teraz pończochy w romby i kwiaty. Raz widziała nawet różowe, z motylami. Wyobraziła sobie, jak by to było mieć pieniędzy pod dostatkiem i naszyć na swoją bieliznę czerwone serce, które mógłby zobaczyć tylko ten, kto...

- Masz czerwone policzki. Coś ci dolega?

Louise nie zorientowała się, że jej przyjaciółka pojawiła się już w pralni. Lily wyjątkowo przysłała na czas, więc udało jej się znaleźć miejsce w rzędzie przed nią.

- Nic mi nie jest. Ale czasami sobie wyobrażam, że ta delikatna bielizna należy do mnie. Zastanawiałaś się kiedyś, jak przyjemne dla skóry muszą być te motyle?

Lily spąsowiała.

- Z chęcią sprawdziłabym to po pracy.

- Przecież wiesz, że nam nie wolno. Tylko tobie mógł wpaść do głowy taki pomysł.

- Ach, nie bądź taka tchórzliwa, przyłącz się do mnie.

Przełożona odwróciła się do nich i wrzasnęła przez halę:

- Lily, dziś pracujesz przy mnie, z przodu. *Vite, vite*, młoda damo.

Nie przysłałaś tu na pogawędki przy kawie!

Mijając Louise, Lily szepnęła:

- Chciałabym, ale naprawdę nie mam odwagi. To by się źle skończyło!

Louise westchnęła, a kiedy już posortowała pranie, chwyciła dwa stojące pod półką wiadra. Przeszła przez halę. Musiała teraz przynieść wodę ze studni na dziedzińcu.

Popatrzyła przez moment w bezchmurne letnie niebo, wzięła głęboki wdech i zanurzyła pierwsze, a potem kolejne wiadro w mętnej wodzie, po czym pobiegła wlać ją do kotłów. Następnie napełniła trzecie i czwarte, piąte i szóste wiadro, poniosła je przez halę i wylała ich zawartość do tych kotłów, pod którymi paliło się już drewno. Pod ósmym kotłem ognia nie rozniecono. To w nim miała moczyć bardziej zabrudzone pranie. Na samym dnie umieściła pantaloney i pończochy, na to położyła pościel i w końcu apaszki, mankiety oraz kołnierze. Dopiero wtedy napełniła naczynie zimną wodą. W pralni był też kocioł służący do oddzielnego prania delikatniejszych rzeczy: damskiej bielizny z koronkowymi obszyciami, pięknych podwiązek, kolorowych gorsetów i halek. Tymi materiałami miała później zająć się jeszcze raz, żeby odświeżyć ich kolory. Lśniąca zieleń, dzięki rozтворowi z octu i alunu, odzyskiwała blask, subtelny kolor lila Louise wzmacniała proszkiem do pieczenia, a czerwonym pantalonom niejakej Francine Duboise robiła kąpiel w witriolu.

Do Duboise przyłgnęła wątpliwa reputacja. Gdy przekraczała próg hali, rozmowy praczek natychmiast cichły, a w ostatnich rzędach podnosiła się szeptanina. Być może to przez jej blond loki, które lśniły w przytłumionym świetle hali, albo przez jej eleganckie ruchy, kiedy kroczyła po nierównej podłodze na wysokich obcasach. Kobiety były zapewne zazdrosne i dlatego mamrotały za jej plecami, że jest *la poule*, albo jeszcze gorzej - *la putain*. Dla Louise jednak moment, kiedy drzwi się otwierały i do hali wchodziła Francine Duboise, był najważniejszym punktem dnia.

Duboise zawsze nosiła ekstrawaganckie nakrycia głowy, więc kiedy pojawiała się w pralni - pewna siebie i nieporuszona rozlegającymi

się szeptami - od razu przykuwała wzrok robotnic. Za każdym razem energicznie stawiała na ladzie kosz z praniem i zdejmowała bogato zdobiony wytwornymi kokardami kapelusz, czego dama w miejscu publicznym nie powinna była nigdy robić. Choć tylko do tego sprowadzała się nieobyczajność kobiety, otaczała ją aura niezwyklej tajemniczości, która wypełniała pralnię, dopóki Duboise jej nie opuściła.

Na razie było jednak zbyt wcześnie na pojawienie się Francine, jak Louise nazywała ją w myślach. Teraz w hali rozbrzmiewały jedynie głosy pracownic: zgarbionych wdów i młodych dziewcząt. Wszystkie miały zniszczone pracą dłonie i nosiły ciężkie, grube ubrania, które musiały spełniać przeznaczoną im funkcję. Były tanie, dobrze znosiły pranie w wysokich temperaturach, a poza tym zakrywały kobiece wdzięki. Rola cnotliwej kobiety - czy podobało się to Louise, czy nie - polegała na tym, by nie zwracać na siebie uwagi. Policzki dziewczyny płonęły z wysiłku i żaru buchającego od ognia. Wsypała nie więcej niż garść sody do gorącej, ale nie wrzącej wody. Musiała być przy tym ostrożna, aby ubranie i pościel się nie skurczyły, a na materiale nie pojawiły się brązowe plamy. Louise wzięła apaszki, mankiety i kołnierze i włożyła je do kotła, w którym woda zdążyła osiągnąć odpowiednią temperaturę, a następnie rozpałała ogień pod trzecim naczyniem do gotowania ubrań. Jej ręce były już zaczerwienione, a tam gdzie je sobie ostatnio otarła, odczuwała piekący ból. Na pewno zrobią się z tego pęcherze. Sięgnęła po drewnianą łyżkę, żeby wymieszać pranie, ale natychmiast ją wypuściła i krzyknęła z bólu: uchwyt łyżki był gorący jak sam żar. Podniosła spódnice, trochę się w końcu schłodziła i pozwoliła sobie na krótką przerwę. Nie mogła pojąć, jak matka wytrzymała tę harówkę przez cały rok i jak znosiła ten ciągły smród.

Matka Louise wychowała się w Alzacji wśród rozmarynu, tymianku i lawendy. Louise miała wprawdzie tylko mgliste wspomnienie domku dziadków, ale w jej pamięci od razu ożywał maślany smak sera. Odwiedzając ich często jako dziecko, zakochała się w bezgranicznej

dali. Gdy wspinała się na sękaty gałęzie starej jabłoni, rozciągał się przed nią niczym nieograniczony widok na winnice. W pamięci zachowała też wspaniały ogród przy domu. Wśród drzew jabłoni i grządek z warzywami mogła szaleć do upadłego ze swoją siostrą Vic. Za każdym razem, gdy przemykały obok stołu, babcia częstowała je słodkimi truskawkami, kawałkiem ciasta albo lemoniadą własnej roboty. W tych szczęśliwych dniach dorośli pozostawiali Louise i Vic samym sobie, pozwalając, by spędzały czas w dziecięcym świecie wyobraźni. Mogły więc robić, na co miały ochotę. Babka zajęta była gotowaniem, matka wyrywaniem chwastów, a dziadek z ojcem przycinaniem jabłoni. Często do późnych godzin nocnych siedzieli wspólnie w ogrodzie przy długim stole z zapalonymi świecami. Niczego więcej nie chcieli od życia. „Dlaczego wyjeżdżamy? Dlaczego musimy wracać do Clichy?” – Louise rzuciła pytania w powietrze. Ojciec szybko opróżnił kieliszek wina, a jego dłoń lekko przy tym drżała. „Nie jesteśmy sami na świecie i nie tak wolni, jak byśmy chcieli” – odpowiadał.

Louise nie rozumiała wówczas, co ojciec ma na myśli. Nie wiedziała, że to aluzja do wojny, na którą niewiele później miał wyjechać.

* * *

- Pojedziemy, gdy liście zrobią się kolorowe – obiecał ojciec, gdy wrócił do Clichy na przepustkę. Louise wciąż zasypywała go pytaniami o Alzację.

Do momentu wyjazdu musiała wytrzymać w ciemnym mieszkaniu razem z matką i siostrą. Nie żyło im się źle, nie cierpiały głodu, a Louise miała nawet własne łóżko.

- Ciesz się tym, co masz.

Matka ciągle prosiła ją i Vic o pomoc w domu. Musiały wycierać naczynia, składać pranie i modlić się wieczorem o to, aby wciąż było tak, jak jest. Louise prosiła wprawdzie Boga o to, o co kazała

jej prosić matka, ale jak tylko ta gasiła światło i wychodziła z pokoju, dziewczynka wyskakiwała z łóżka, klękała na chłodnych kafelkach i znów składała ręce do modlitwy.

- Dobry Boże, ponieważ wiesz wszystko, wiesz też, że wcześniej skłamałam. Niech coś się zmieni. Proszę cię, spraw, żebyśmy przeprowadzili się do Alzacji, do babci i dziadka. A jeśli to niemożliwe, spraw chociaż, żebyśmy żyli w jasnym mieszkaniu z szerokim widokiem na świat. Wtedy byłoby niemal tak, jakbym siedziała na swojej jabłoni.

Modlitwy Louise się spełniły - zaszło wiele zmian, tyle że nie takich, o jakie prosiła. Choć liście zrobiły się kolorowe, wizyta u dziadków została odłożona w czasie. W trakcie kilkudniowego pobytu w domu ojciec wciąż zwodził Louise obietnicami.

- Mój wróbelku, obiecuję. Pojedziemy, gdy tylko spadnie pierwszy śnieg.

Wiatr się wzmógł i zmiatał ostatnie liście z gałęzi, aż te całe wyłyśiały i przybrały złowrogi wygląd. Na dworze robiło się coraz zimniej. Za pieniądze przysłane przez ojca matka kupiła Louise czerwony płaszcz, który tak jej się podobał, że nie posiadała się ze szczęścia. Dziadkowie się zdziwią, kiedy ją w nim zobaczą. Pierwszy śnieg już spadł, ale do wyjazdu i tak nie doszło. Ojciec pisał w listach o skomplikowanej sytuacji na froncie i że bardzo za nimi tęskni. Zapewne zamierzał w ten sposób pocieszyć Louise, ale jego wiadomości przynosiły raczej odwrotny skutek - dziewczynce chciało się płakać. Na co jej czerwony płaszcz, skoro nie mogła go zabrać ze sobą w podróż?

Nastał Nowy Rok, który - inaczej niż dotąd - spędzili bez dziadków. Louise cieszyła się, że przynajmniej ojciec jest z nimi. Wspólnie wyglądali przez okno, by obserwować noc, a gdy dzwony kościelne wybiły dwunastą, matka chwyciła ojca za rękę.

- Miejmy nadzieję, że wojna niedługo się skończy - powiedziała.

Za sprawą słońca na drzewach znów zaczęły pojawiać się liście, ale Louise nie odważyła się zapytać, kiedy w końcu pojedą do Alzacji. Tęskniła za czasem spędzonym w pochylonym domku w ogrodzie,

za potrawami przyrządzanymi przez babcię i za spokojnym głosem dziadka, który tak chętnie objaśniał jej świat.

Wiśnie przestały kwitnąć, a ciepły wiatr już dawno zmiotł z ulic delikatne liście i rozwiął je wokoło, tymczasem oni nadal nie pojechali do Alzacji. W końcu Louise i Vic poznały prawdę. Matka przedstawiła im ją dziwnie rzeczowym tonem. Louise od razu pojęła znaczenie jej słów. I nie chodziło o to, co mówiła, ale o sposób, w jaki się wyrażała. Jej ciało wilo się przy każdym precyzyjnie dobranym sformułowaniu, jak gdyby cierpiało i chciało owo cierpienie ukryć.

- Babcia i dziadek musieli uciekać. - Matka na chwilę zamilkła, po czym dodała: - *Boches*, Niemcy, zdobyli Alzację. W związku z tym dom i ogród nie należą już do dziadków, tylko do obcych.

Świat Louise zawalił się w ułamku sekundy. Bezwrotnie utraciła raj swojego dzieciństwa. Już nigdy więcej nie będzie się wspinała po drzewach, nigdy więcej nie spędzi wakacji w domu dziadków. Zaczęła gorzko płakać.

Potem na wojnie zginął ojciec, zostawiając matkę samą z córkami. Bóg musiał być bardzo okrutny, skoro opacznie zrozumiał prośbę Louise, by wszystko się odmieniło. Nie mogły już jechać do Alzacji, do dziadków, a i mieszkanie w Clichy, które opłacały z żołdu ojca, musiały opuścić po jego śmierci. Stały przed koniecznością przeprowadzki. Wszystko potoczyło się tak szybko, że zabrakło nawet czasu na żalobę. Matka często chodziła wściekła i wciąż krzyczała na Louise i Vic, które nad wyraz niechętnie pakowały swój mizerny dobytek.

Louise wołała bowiem leżeć na łóżku i marzyć o jabłoni. Skoro drzewo naprawdę należało teraz do *Boches*, a Louise nigdy już nie miała pojechać do Alzacji, chciała przynajmniej przeprowadzić się w jakieś przestronne miejsce, do zamku nad chmurami, a jeśli było to zbyt wygórowane wymaganie, to przynajmniej do mieszkania na piętrze, do którego wpadałoby światło i z którego można by oglądać dachy miasta.

Matka i córki nie wprowadziły się jednak do żadnego mieszkania zalanego światłem. Przeciwnie – znalazły nocleg w schronisku, które przypominało barak. Matka i Vic dostały na szczęście pracę w pralni Noiset, a ich przełożona Betty załatwiła im potem porządny pokój. Gdy pracowały, Louise była pozostawiona samej sobie. W ciemnym pokoiku nie miała nic do roboty. Szwendła się więc po okolicy. Oglądała z zainteresowaniem witryny sklepów z zabawkami, wyobrażając sobie, że ojciec na pewno coś by jej kupił, dziadek zaś zrobiłby jej ładniejszego konia z drewna niż ten na wystawie. Pewnego razu, gdy stała przed jednym z takich sklepów, ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciwszy się, Louise dostrzegła chudą dziewczynę o przykuwającej uwagę jasnej cerze, która nadawała jej arystokratyczny wygląd. Lily, bo tak się nazywała, nieśmiało zapytała miękkim głosem, czy Louise się z nią pobawi. Ta, szczęśliwa, że w końcu znalazła przyjaciółkę i że nie musi już spędzać czasu w pojedynkę, ochocho przystała na tę propozycję. Najchętniej grały w klasy. Podczas zabawy Louise traciła poczucie czasu, a kiedy matka i Vic wracały do domu, nie rozumiała, dlaczego musi przebywać w miejscu, w którym nie ma nic prócz współdzielonych łóżek i w którym czeka na nią wiecznie ten sam kapuśniak.

Przyjaźń z Lily przetrwała lata i coraz bardziej się zacieśniała. Z biegiem lat dziewczęta – zamiast o księżniczkach i rycerzach – zaczęły rozmawiać ze sobą o młodych mężczyznach. Często spacerowały brzegiem Sekwany i obserwowały odbudowę Pont de Clichy zniszczonego podczas wojny francusko-pruskiej. Zbierały jagody, a czasami któraś przynosiła chleb z masłem. Te spotkania były dla nich niczym święto – przyjaciółki urządzały pikniki i obserwowały młodych wędkarzy w łodziach, przyznając im punkty za atrakcyjność, zachowanie i status społeczny. Louise najbardziej lubiła mężczyzn odróżniających się czymś od reszty. Lily, pukając się w czoło, komentowała jej wybory: „Z takim gustem wylądujesz w rynsztoku”. Louise zaś odpowiadała: „Już dawno w nim wylądowałyśmy, jeśli jeszcze nie zauważyłaś”.

W trakcie tych pogaduszek zataczały po okolicy coraz szersze kręgi. Po odbudowaniu mostu spacerowały do Île de Robinson i drogą wzdłuż Île des Ravageurs. Czasami szły w kierunku parku, przez którego środek płynął potok i gdzie wiosną i latem rozniósł się śpiew zięb. W ciepłe dni nad brzegiem strumienia zdejmowały buty oraz pończochy i zanurzały bosc stopy w wodzie. W ten sposób, bez względu na porę roku, uciekały od smutnej rzeczywistości, opowiadały sobie o planach na przyszłość i swoich marzeniach. Louise z wielką wprawą upiększała wizje roztaczane przez Lily. Kiedy ta wyznawała, że pragnie wiernego i czulego męża, który regularnie przynosiłby do domu pieniądze, Louise wymyślała dla przyjaciółki dom z rozległym ogrodem, pachnącym ziołami i wysokimi jodłami. Przyszłemu dobrodusznemu mężowi Lily przypisywała jeszcze sporo uroku i wyobrażała go sobie jako bardzo atrakcyjnego. Innym razem zrobiła z przyjaciółki żonę nowoczesnego młodego profesora, który już podczas ich pierwszego spotkania zakochał się w niej po uszy i we wszystkim był jej posłuszny. Swoje opowieści wzbogacała zamaszystą gestykulacją oraz mimiką właściwą występom muzycznym. Wzbudzała tym podziw u swojej słuchaczki i wywoływała uśmiech na jej twarzy. Mówiła głośno to, czego Lily nie odważyła by się powiedzieć, a nawet wyobrazić. W końcu co im pozostało prócz marzeń?

Głośny dźwięk gongu obwieszczający przerwę obiadową wyrwał Louise z zamyślenia. Robotnice szybko opuściły pralnię i wyszły na dziedziniec. Louise zamierzała uczynić to samo, ale w tej właśnie chwili zauważyła Francine Duboise w towarzystwie jakiejś kobiety. Bez zastanowienia wskoczyła za kocioł, licząc na to, że uda jej się dowiedzieć czegoś więcej o Francine i świecie, w jakim ta się obraca.

W pomieszczeniu zalegało ciężkie, gorące powietrze, a z kotłów unosiła się para. Gdzieniedzie dało się słyszeć syk kipiącej wody. Francine postawiła kosz z praniem zawierający - jak domyślała się Louise - zdobione gorsety, najlepszej jakości bieliznę i podwiązki.

- Chyba nikogo tu nie ma - powiedziała do przyjaciółki i zachichotała.

Louise nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy Francine dotknęła policzka swojej towarzyszki, którą z czułością nazywała Aurélie. Trzymając przez dłuższą chwilę dłoń na twarzy kochanki, zrobiła krok w jej stronę. Całowana przez nią w dekolt, dotykała krągłych pośladków Aurélie.

- Popracujemy dziś we dwie, a moje spojrzenia będą zarezerwowane tylko dla ciebie i żaden z mężczyzn się nie domyśli, co nas łączy. Pomyślą, że robię to dla nich. A napiwki, najdroższa, będą spływać i spływać. Jak już uzbieramy, ile trzeba, zwiejemy i zostawimy za sobą cały ten syf. - Francine objęła Aurélie w tali i szepnęła jej coś do ucha.

Nagle Louise usłyszała zbliżające się kroki. Francine raz jeszcze pocałowała Aurélie. Ich pieśczoły trwały zbyt długo, by mogła je łączyć jedynie przyjaźń. Kobiety były tak sobą zajęte, że Francine oderwała usta od ust Aurélie i odwróciła głowę, dopiero gdy usłyszała Betty głośno wciągającą powietrze.

- Rany boskie. - Przełożona przeżegnała się i zachwiała. Przez chwilę wyglądała na bliską upadku, wreszcie jednak odzyskała równowagę i chrząknęła. - To pralnia, a nie dom publiczny, moje panie. Jeśli więc mogłabym prosić...

- Może pani. - Aurélie puściła dłoń Francine i przekazała kosz Betty.

- Dopóki jestem tutaj przełożoną, obowiązuje zasada: jesteśmy wprawdzie biedne, ale nie zepsute.

- Nie mamy co do tego wątpliwości, madame Mouron. Do nas też się to odnosi.

Betty skrzyżowała ręce na piersi i uniosła podbródek.

- Może nie wyraziłam się dość jasno. Powtórzę po raz ostatni: proszę opuścić pralnię. To nie miejsce na obsceniczne zachowania. Pracują tutaj przyzwoite kobiety.

Zawstydzona Aurélie spuściła głowę.

- Aurélie, masz prawo być traktowana jak pełnoprawna obywatelka. - Francine sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyjęła plik pieniędzy. - Może teraz pani zrozumie - powiedziała do Betty, patrząc na nią przeszywająco. - Wykonujemy swoją pracę, tak jak i pani wykonuje swoją. Zdejmujemy ten ciężar z przyzwoitych kobiet.

Louise poczuła swędzenie w nosie. O nie, żeby tylko jej teraz nie zauważyły! Betty otworzyła usta, jakby chcąc odpowiedzieć, i chwyciła się pod boki, gotowa wyrzucić z hali dwie awanturnice. Jej spojrzenie powędrowało jednak ku banknotom, które Francine spokojnie odliczała na ladzie. Nagle Louise głośno kichnęła. Wszystkie trzy odwróciły się w jej stronę. Na twarzy Francine pojawił się szyderczy uśmiech, Betty zaś wymamrotała:

- W porządku, znajdziemy czas, żeby zrealizować pani zlecenie. - Energicznie wsunęła plik pieniędzy do kieszeni spódnicy i wypchnęła kobiety z hali.

Louise wiedziała, że Betty powinna wpisać dodatkowe przychody do księgi kasowej. Po kilku minutach, gdy już wróciła, przełożona zamknęła rejestr zdecydowanym ruchem i wpakowała go do jednej z szuflad. Potem zawołała Louise i ostrzegła ją, że w żadnym wypadku nie może nikomu pisać ani słowa, w szczególności matce. Poza tym, dodała, dzięki tej wyjątkowej sytuacji jest w stanie wesprzeć praczkę. Po tej długiej wypowiedzi musiała złapać oddech, po czym przekazała jeden banknot Louise. Podkreśliła, że kierowała się wyłącznie miłosierdziem i współczuciem i że liczy na rozsądek dziewczyny.

Tego dnia Louise pojęła, że pojęcie moralności jest płynne, a jedną, tę samą rzecz można interpretować na wiele różnych sposobów.